

Stefan Balic'i

Historia podwójna o fabrykancie Jurewiczu

Nie, nie można pisać o nim opowiadania. Nie można tego człowieka włożyć po miejscach, w których nigdy nie był i przytaczać słowa, których nigdy nie mówił...

Jakże to było naprawdę?

Oto mała miejscina galicyjska, pełna niefrasobliwie kręcących się ulic, kiepskich domów. Ludzie uśmiechają się do siebie od rana i dotykają przy powitaniu rąk zatuszczonych kapelusza. Z ulic najlepsze manieje ma ulica Tkacka, długa jak trasa biegu naprzęta, zabudowana drewnianymi willami. Olbrzymie, a jednak wytworne kształty tych willi stanowią trochę poważnych obywateli miasta, którzy przed nimi stają w zadumie.

— A ja panu mówię, że wszystko to kiedyś stanie się pastwą pożaru.

Ale wille piętrzyły się lekko, niby domki z kart, naprzekór rozsądnym obywatelom miasta, i pożar ich się nie miał mimo, że pioruny bijąły tu nieraz prawie tak głośno, jak w dałkich, dużych miastach.

Handel odbywał się od rana do wieczora, wszyscy się tu znali i na kupienie guzika traćło się godzinę czasu. Przemysł miejski natomiast reprezentował malutki Jurewicz, który stale gniewnie prychnął.

Przechodził ulicami krokiem znacznie szybszym, niż to było w mieście przyjęte, i zniknął w parterowym domku, zaopatrzonego na dachu w blaszaną rurkę niegrubszą od laski spacerowej. Zaraz potem z owej rurki wylatywał w gwałtownych pyknięciach dym. Jurewicz fabrykował obrazki w metalu..., a może tylko palił fajkę i dym wydymuchał? Albo prychnął gniewnie na całe miasto, które nie miało zrozumienia dla jego pracy?

Późnym wieczorem pykanie słabło. Rozległy się na zakończenie dwa słabsze, zniechęcone wydumy, i fabryka stawała. Jurewicz zamykał się w swoim kancorku i prowadził obliczenia.

Straty! Same straty. Ubiegłego miesiąca oddał stróża. Czy to był stróż? Bóg wie, jak go nazwać. Przybłąkał się jakiś bezrobotny, przywabiony czkawą dzwacznej rurki i pytał o robotę.

— Roboty? Szukacie roboty? — spytał Jurewicz.

Był nieprzytomny ze szczęścia. Oto zgłaszają się do niego po pracę. Ileż to nocy przemarzył daremnie, każąc po swej lasej głowie wędrować najbardziej niedorzecznym obrazem. Przeczytał czasami wiadomości o strejku w jakiejś prawdziwej fabryce i już opadał go wizje.

Oto złowrogi szum robotniczego tłumu przed jego fabryką. Pieści uniesione w górę. Wrzask, zadanie kłótnie i schrypnięty głos paru agitatorów. (Zupełnie mętnych głów). Ale wreszcie nadzieja on. W czemże nadzieja? A raczej na czem? Na rowerze. Skromnie opiera rower o ścianę i, przeciskając się przez wzburzony tłum, staje na tarasie.

— Towarzysze.

Zrywa się grzot protestów. Ruchomy kostkowy bruk głów tańczy pod naporem buntowniczych serc. Nie, nie chcą go słuchać. Za żadną cenę.

— Towarzysze.

Głos jego spokojny, ale silny i stanowczy, ucisza wszystkich. Głosy nieruchomieją. I teraz oto na skłębione balwany wylewa się gorąca oliwa jego słów.

— Towarzysze! Dziś, gdy kryzys zatacza coraz szersze kręgi, zbrodnia byłoby...

Powiedział tylko sześćdziesiąt słów. Nie więcej. A potem na ramionach rozentuzjuszowanego tłumu robotniczego wjeżdża do fabryki. (Schyliłby się trochę, żeby nie uderzyć głową o drzwi).

— Do pracy! Wracamy do pracy! Pod hasłem „metalowe arcydzieła sztuki w każdym polskim domu”. Precz ze strajkującymi! Precz!!

— Szukacie więc roboty? — spytał głośno.

Potem położył dłoń na ramieniu swego brata, swego bliźniego i serdecznie oznajmił:

— U mnie ją znajdziecie.

Ostatecznie za wikt i mieszkanie (stara kanapa w kancorku) robotnik zgodził się do pracy. Pracował przedtem w składzie trumien. Wszelako trumny umiał robić dla ludzi najbardziej nawet wymyślnego kształtu. Ale coż to szkodzi? Nauczy się i nowej roboty. Dostał więc drelichowy mundur koloru zielonego i taką czapkę z napisem: „Jurem-tal”. Chodził po mieście i okolicznych wsiach z plecakiem, pełnym obrazków w metalu. Ale po miesiącu podziękował za pracę. Poprostu ze wstydu. Nikomu się nie podobał w nowym mundurze. A już najmniej małym obywatelom miasta, którzy w rozmaitych tonacjach odczytywali głośno skrót fabryki Jurewicza z czapki jednego robotnika. Spoczątku uśmiechał się za nim, potem, coraz smutniejszy włożył się ulicami miasta. Gdy wreszcie w poszukiwaniu powinowatego zaczął go z bełkotem i śmiechem popularny warjat miejski, Jasiu Duj, pracownik firmy Jurmetal runął do fabryki i począł się pośpiesznie rozbierać.

— Postępuje pan lekkomyślnie. Jak Boga kocham, lekkomyślnie — tłumaczył łagodnie Jurewicz.

— Wolę zdechnąć pod płotem, niż pracować w takiej cholerniej fabryce. Jakbym psia krewnego gołębował po rynku, toby ludzie tak nie rzygli. Oddaj mi pan moje ludzkie portki i prawdziwą czapkę.

— Weź pan swoje nędzne łachmany — rzekł smutno Jurewicz — wypowiadam panu pracę.

Po tych słowach Jurewicz oddał do pokoiku, stanowiącego hałą maszyny, niewiele ciekaw-

szej od maszyny do kawy.

I otóż straty. Znowu same straty. Przedsiębiorstwo właśnie zaczęło się rozwijać. Najął przecie robotnika, załóżek przyszłych tłumów i sprzedał jakimś przejeźdnemu proboszczowi dziesięć Madonn Rafaela pięknie na czerwonej blasze wytrawionych. Gdyby Rafael ujrzał owe Madonny, niewątpliwie podniósłby wyśoko brwi. Ale proboszcz był małym, spokojnym człowiekiem, który na oczy nie widział obrazu Madonny Sykstyńskiej. Proboszcz odjechał, robotnik uciekł. Tchórzliwie uciekł z placówki, mającej świetne warunki rozwoju.

Jurewicz wracał późnym wieczorem do domu, trawiony gorzkimi rozmyślaniami. Pustą ulicę Szopena przeszukiwał wielki, okrągły księżyc. Stały tu parterowe, mury domy, starannie od siebie odgródzone i sobiepańskie w dzień. Porozumiewały się teraz nocą ze sobą, gawędziły scicha, a księżyc pękał ze śmiechu, oparty wygodnie o nieruchomy, zębaty obłok. Tylko właśnie jeden dom Jurewicza stał wypłoszony na koniec ulicy, smutnie owinięty wałącym się parkanem, na który księżyc ku większemu uragowisku powywlekał jakieś stare szmaty.

Jurewicz zapalił w kuchni lampę i spojrzał na skołutniony łeb pograżony w śnie służącej. Muchy zabzykały niespokojnie na oknie i pod sufitem.

— Wszystko jedno — myślał Jurewicz — wszystko jedno. Właściwie nie obmyślał tych słów ani ich nie wypowiadał. Tylko na migi tłumaczył swemi ślamazarnymi ruchami. Inwestycje. Kapi-

tał. Oto, co mogło uratować przed siębiorstwem. Ułożył się w łóżku i zaszeleścił gazetą.

— Już przyszedłeś? — ozwał się sennie łóżko żony.

Jurewicz z gniewem rzucił gazetę na podłogę.

— Proszę cię! — krzyknął — wstań i przekonaj się, czy to ja jestem. Co mam ci odpowiedzieć? Więc tak! Przyszedłem! Wróciłem do ciebie. Masz swój skarb spowrotem.

Łóżko żony zachrobotato i westchnęło krótko, lecz beztróskliwie.

— To jest okropne — rozmyślał Jurewicz, podnosząc gazetę — gdy jutro wstanę, zapyta mnie czy już wstałem. Gdy piję kawę, pyta, czy już jem śniadanie. A gdy ja, jedynie w tem mieście większy człowiek, umrę, zapyta: czy położyłeś się już do trumny? Oślica — mruknął głośno — jak wszystkie kobiety.

Nagle nałożył pantofle i szlafrok i ruszył do pokoju córki.

— Nie śpisz jeszcze, Ewuś?

— Poco się tatuś pyta? Chyba to widoczne, że nie.

— Tak. Nie śpisz. Czytasz, jak widzę. Romanse otumaniają młode głowy. Ale nie o tem chciałem z tobą mówić.

— Wiem o czem tatuś chce ze mną mówić. Ale teraz wolałabym spać — Ewa ziewnęła.

— Dla ciebie to kwestia obojętna, a dla mnie to sprawa życia i śmierci. Muszę śledzić ten czarny zygzak, po którym leci mój los. Wiesz, że wieczorem twój złoty ząb wygląda zupełnie tak, jakby go nie było. Ale nie o tem chciałem mówić. Cóż, był dzisiaj? — Kto?

Jurewicz pokiwał gorzko głową.

— Kto, kto. No, zgadnij kto? Wiesz przecie, że pytam o Krzysztofowicza.

— Owszem, był Krzysztofowicz.

— Byłaś dla niego uprzejma? Ewa podciągnęła koldrę pod szyję i patrzyła na ojca, jak na krzesło, o którym wiadomo, że nawet w dzień ostateczny nikomu dobrowolnie z drogi nie ustąpi. Nie potrafi ustąpić.

— Był uprzejmy dla mnie. Nawet oświadczył się...

— I? — krzyknął Jurewicz, porywając się z krzesła.

— Przyjeżdżał go.

— Bóg ci nagrodi, moje dziecko. Bóg ci nagrodi. — Jurewicz padł na kolana. Potem zamilkł i, przysiadłszy na piętach, dodał ze zdziwieniem — a ta oślica nie mi nie mówiła.

— Jaka oślica? Co ojciec wygaduje? Proszę tak bardzo nie dziękować. Wyjdę za niego, bo chcę wyjść. Przekonałam się, że to nie tak łatwo zakończyć się.

— Miłość — zawołał Jurewicz — tak, to nie łatwa sprawa. Trzy dziesięć tysięcy. Muszę dokupić dużo materiału. Czy wiesz, że Szrajbmanna sprzedaje swoją kamienicę? Teraz idzie serja wielkich mistrzów szesnastego wieku.

— Dobranoc — rzekła Ewa z akcentem rozdierającym nudy.

— A więc jednak jest lepiej — mówił do siebie Jurewicz — jest znacznie lepiej. Inwestycje. Od jutra z nową energią do pracy.

Wrócił do swego pokoju i, stanowiący przy łóżku, oparł się o poręcz. Patrzył na pościel, na której zostawił odcisk swej postaci

i pomyślał, że to kokon, z którego w tej chwili wyleciał piękny motyl.

— Dlaczego mi nic nie mówiłaś?

— Ale łóżko żony nie odpowiedziało. — Co słyhać? Jak tam dzieci? — pytano go nie raz. Odpowiadał:

— Syn nicpoń, a córka nie wychodzi zażamą. A nareszcie obrócił sterem. Córka wychodzi zażamą, a fabryka przychodzi do siły. — Oślica — zgrzytnął jeszcze pod adresem nabrękiej stopy, wychylającej się z sąsiedniego łóżka.

I pan Krzysztofowicz, wdowiec, właściciel paru kamienic, ożenił się istotnie z córką fabrykanta Jurewicza, panną Ewą. Wiadomość niewiarygodna. Zakochał się czy jak? — gubili się w domysłach obywatele miasta. Ale sprawy późniejsze potoczyły się zupełnie inaczej, niż to sobie Jurewicz wyobrażał. Obraz salonów mieszczańskich, fortepianów w tychże salonach i mnóstwo obrazków w metalu na tychże fortepianach, zbliżył się tylko poto, by czmychnąć, jak pociąg, który z niewiadomych przyczyn, nie zatrzymawszy się na stacji, uleciał w noc. A ogłupiali podróżni długo jeszcze na peronie stoją z otwartymi ustami i ciężkimi walizkami w rękach.

Pan Krzysztofowicz, po ostrzeżeniach młodej żony, pokazał zaledwie skrawek swego bogactwa. Rzucił mu czterysta złotych i zniknął wraz z żoną zagranicą. I tak lawina nowych zdarzeń była tylko pustą grą pięknych chmur. A cały pożytek, to ból w karku od zadzierania głowy.

Od tego dnia Jurewicz opuszczał głowę coraz niżej. Garbił się i patrzył wdół. Zauważył to, o czem dawno wszyscy widzieli, że ziemia jest czarna. Urodził mu się trzeci potomek, ale i to wydarzenie nabrzmiało tylko na chwilę nowymi nadziejami, by pęknąć i rozwiać się w pył dni.

Tymczasem płomień nie miał się ulicy Tkackiej, ludzie uśmiechali się do siebie od rana, dotykając ręką rąk zatuszczonych kapelusza, małe i wielkie wydarzenia odbywały się to głośnie, to ciszej. Czasem rywna spadała w czas wichury, czasem muchę zabito na ścianie, czasem człowiek leciał głową wdół i nie powracał.

Pewnej nocy wybrał się Jurewicz do swojej fabryki i, rozjeżdżawszy się podejrzieliwie, zniknął szybko w kancorku. W pół godziny później wyszedł, włokąc za sobą ostatnie arcydzieło. Autoportret olbrzymich rozmiarów w metalu. Pod autoportretem było mnóstwo tekstu: „Jurewicza scenjora, nieustraszonego bojownika przemysłu artystycznego, mauzoleum”.

Wrócił do hali maszyny i, wyławszys pokątną ilość nafty...

Nie, nie można o tym człowieku pisać opowiadania. Fałsz byłby aż nadto oczywisty. Jurewicz, dugoletni pączek, nie zakwitł purpurowym kwiatem ognia, lecz rozwinął się w pożyteczną głowę kapusty.

Owszem, fabryka spłonęła. Wszystkich mogło zapewnić, że tak było. Ale śledztwo wykazało, że fabrykę podpalił miejski warjat Jasiu Duj. A Jurewicz, otrzymawszy pokątną sumę ubezpieczenia, stracił szacunek dla swej uszłej z dymem duszy. Nie przychylał gniewnie na nikogo, wieczory ma spokojne, oddycha głęboko po każdym łyku wina. Lubi towarzystwo młodych kobiet i dlatego w dzień odczytuje małe zeznania, lecz piękne.

Daremnie starałem się umieścić wawrzyn na lysej głowie Jurewicza. Wawrzyn spadł i zadzwonił srebrnym, po które Jurewicz skrzętnie się schylił. Wolicie tę prawdę? Weźcie ją.

Dla siebie chowam inną. Gdy miasto zaśnie i czarna szmata mroku zaścieni ulice, wów czas między domkami w zygzakach, to przystając, to spiesząc pełga siny język błędnego ognika. Wszyscy śpią. Jeden Jurewicz czuwa. Wyskakuje oknem z łóżka i rzuca się w pogoń, która trwa aż do świtu. Dlatego w dzień ma oczy zmęczone, lecz piękne.

L. Ciechanowiecka

K u l t z i e m i

Jest taka miła, smutna piosenka Luskiny o murzyńskim dziecku, które pożarł krokodyl nad Nilem. Kończy się ona zwrotką: — „A choć z oczów czarnej matki — gorzkie lzy pocieką — nie nikogo to nie wzruszy — bo to tak daleko...” Otóż dzieje chińskiego chłopca Wang Lunga i jego żółtołwej żony O-lan, opowiedziane przez amerykańską autorkę Pearl Buck*), chociaż dzieje się „tak daleko”, wzruszą, napewno wzruszą każdego.

Przeciętny, szanujący się Amerykanin i Anglik odnosi się do kolorowego człowieka mniej więcej tak, jak owe panny dorobkiewiczówny z „Malheurs de Sophie” — małe panny Tournebroche w stosunku do ubogich dzieci. Słyszałam raz Amerykanina dyskutującego na temat Chin, który chcąc położyć kres niewygodnej rozmowie — oświadczył krótko: — „Ci kolorowi ludzie to zwierzęta”. Człowiek nie powinien sobie nimi zaprzątać głowy. Takich ignoranców, jak ów Babbitt jest więcej w krajnie wujka Sama, toteż Pearl Buck, autorka przepięknej opowieści o prostym chińskim chłopcu, jest jakąś Amerykanką z nieprawdziwego zdarzenia.

Nie jest to czułościowa przyjaciółka „dzikusów”, która stylizuje swoich bohaterów, chcąc ich przeciwstawić Europejczykom. Nie — Wang Lung i O-lan są ludźmi niepozbanionymi wad, prostaczkami hołdującymi straszliwemu bóstwu, które zwie się zabobon, a które żąda od nich ofiar, i zbrodniczych praktyk. Zresztą umówmy się. Do Chin nie dotarła jeszcze wszędzie Dobra Nowina — toteż to, co się u nas zbrodnia zowie, tam uważane jest za haracz, spłacany naturze. Dzieciobójstwo, handel dziećmi w okresie głodowych, nieświadome torturowanie kobiet, które traktuje się, jak zwierzęta pociągowe i skazuje je na dożywotnie harowanie, w warunkach, o których pojęcia nie mają europejscy parjasi — to są zjawiska codzienne, zwykłe, powszednie i wytłumaczone koniecznością.

Książka Buck jest niezmiernie

pouczająca. Autorka opisuje swoich bohaterów prosto, bez patosu, jakby bezosobowo; w książce jej nie ma ani jednego komentarza, ani jednej osobistej uwagi — ukaże nam więc chińską jakby na ekranie, ale ten wierny, niezdobny obraz ma głęboką wymowę. Postacie Wang Lunga i O-lan urastają do rozmiarów symbolów. Ci ludzie borykający się przez życie całe z nędzą, z wrogami żywiołami w kraju, ponad którym sroży się tajfuny i ulewne deszcze podobne do potopu, gdzie co lat kilka zjawia się widmo głodu i dziesiątkuje ludzi, a niedobitków zmusza do ucieczki — gdzie gliniane lepiarki wzniesione pracownikami reklamami zamieniają się w kupę błota, a uprawiane w pocie czoła pola w posępne jeziora.

Ileż hartu i jakiejś obłędnej miłości do ziemi trzeba mieć — aby wytrwać w tych warunkach, aby nie wyrzec się okrutnej ojczyzny. A jednak — nie ma siły, któraby zdołała wykorzenić z duszy Wang Lunga i jemu podobnych uśliszowania własnej ziemi, odziedziczonej po przodkach, która by zmusiła ich do odejścia w inne strony. Wracają — wracają zawsze chociaż tam na południu stragany uginają się od ryb, owoców soczystych, worów złoistej pszenicy i fasoli, a w krajnie Wang Lunga w okresach głodu ludzie żywią się plewami i korą z drzew, a nawet padliną.

Chłop chiński kocha ziemię aż do bałwochwalstwa. Nie boi się śmierci, gdyż po śmierci wróci do ziemi, z której wyszedł, a wtedy „nikt mu już jej nie odbierze”. To jego religia. Czcieli ziemi, jak tego dowodzi Buck, potrafi się zdobyć na heroiczne wysiłki, gotów ponieść dla niej śmierć męczeńską, nie ma ofiar, których dla niej nie uczyni.

Pierwsza część książki, to dzieje nędzarza, który z pasją, zaciągawszy zęby i nie wypuszczając z garści pluga, wędruje kamienistą drogą ku dalekiemu, upragnionemu celowi. Tym celem jest — ziemia. Zdobyć jaknajwięcej ziemi, utrzymać ją za wszelką cenę, nie dać jej sobie wywać.

Ogromnie wnikliwie i z niezwykłą znajomością duszy chińskiego chłopca przedstawiona jest

evolucja Wang Lunga, jako stopniowe przeobrażenie się z nędzarza w dziedzica. I tutaj znowu okazuje się dobitnie, iż złoto jest istotnie owym demonem, o którym mówił Axel-Munthe, który gubi dusze ludzkie. Wang Lung i O-lan, to bohaterzy na antyczną zakrojeną miarę, dzieł ich, panieczyki bezrobotne — to już dusze słabe, zdolne do wszelkich kompromisów. Złoto wnosi niepokój do domu, niszczy harmonię małżeńską, budzi w duszy Wang Lunga demony, co w niej się czaiły. O-lan — matka rodu, najwierniejsza z żon, jedyna podpora Wang Lunga musi ustąpić miejsca zwyrodniałej ale powabnej karli z domu publicznego. Z chwilą gdy wszystko to, co znajdowało się poza sferą życia nędznego chłopca staje się czemś dostępnym i osiągalnym, kończy się ciężki, lecz radosny okres. Wang przestaje być w zgodzie z samym sobą, a więc traci spokój i szczęście. Następuje w nim dziwna przemiana. Ten cichy, prostoduszny wieśniak, który w milczeniu dźwigał jarzmo pospołu z małomówną, wierną niewolnicą — żoną, niedolny do świadomego okrucieństwa, z natury prawy i wspólniomyślny, staje się pod wpływem namiętności tyranem i samolubem. Szczęsem jednak wyzwala się spod wpływu złych mocy i wraca do umierającej towarzyszy, z którą łączyły go nierozdzielne więzy wspólnego umiłowania ziemi.

Ci parjasi chińscy, odcięci od cywilizacji i kultury chińskim murem przesądów, mają w sobie niespożyty moc, która czyni z nich postacie symboliczne. Jakże wzruszający jest stosunek do śmierci. Śmierć w Chinach jest odejściem w nieznaną, tajemniczy świat. Do ostatniej podróży trzeba się przygotować, a najlepszym na to sposobem jest obcowanie w ciągu ostatnich dni pobytu na ziemskim padole z trumną, z owym wehikułem, który nas odwiezie w krainę ciemności. Wzrok umierającego spogląda z rozręzieniem na czarną, drewnianą skrzynię, stojącą obok łóża, dusza spozostaje się jakby dalszym ciągiem porozumiewania się żyją-

cych ze światem demonów i dusz zmarłych.

Niejeden Europejczyk mógłby nauczyć się od ciemnego, chińskiego gołopa sztuki umierania. Kodeks żalobny obok śmiesznych cech, zawiera również głębszą myśl, chodzi przecież o zatrzymanie na ziemi, przynajmniej przez pewien czas wspomnienia tego, który odszedł, skąd niema powrotu. Chiński pogrzeb nie kończy się typą, podczas której dokonywa się sekcji duszy nieboszczyka — najnędniejszy człowieczyzna, który niewiele miejsca zabierał na ziemi — po śmierci nabiera powagi i dostojęstwa, jest już bowiem duchem, z którym należy się liczyć jako z istotą wyższą.

Błogosławiona ziemia jest powieścią cykliczną. Kończy się tragicznym akordem — ojciec pod słuchuje rozmowę synów, którzy noszą się z zamiarem sprzedania ziemi. Jest dla nich ciężarem.

„Starzec usłyszał jeno słowa: „sprzeda się pole”.

— Niedobry synowie, darmozjady — krzyzałt gniewnie — sprzedać pole wam się zachciewa?

Byłby upadł, gdyby nie to, że synowie podtrzymali go. Starzec rozplakał się, jak dziecko. Zaczęli go więc uspokajać, mówiąc: „Nie... nie... niema mowy o sprzedaży. Nigdy się nie wyzbędziemy ziemi...”

— Koniec. To kres wszystkiego — padły z ust Wangu strzępy zdań. — Przecież myśmy wyszli z ziemi i musimy wrócić do niej.

Po wychudłych policzkach Wangu toczyły się lzy, zostawiając palące ślady. Pochylił się i wzięwszy w garść trochę ziemi, powtórzył:

— Jeżeli sprzedacie ziemię, to będzie koniec... kres wszystkiego...

Synowie podtrzymywali go, on zaś ścisnął w dłoni ciepłą, sypaną ziemię. Pocięszali go i powtarzali wdółko:

— Uspokój się ojczu... Nie obawiaj się... Nie sprzedamy ziemi...

— Ale Wang nie widział, że zamienili ponad jego głowę porozumiewawcze spojrzanie i uśmiechnęli się do siebie.”

W następnym tonie „Synowie” Buck opisuje dzieje synów Wang Lunga — dziedzica i stopniowe przeobrażenie się chłopskiej psychiki w potwornym laboratorium — miasta.

Pierwszy tom „Błogosławiona Ziemia” jest niewątpliwie niezwykle udaną próbą przeniknięcia tajemnicy Dalekiego Wschodu — zaś jako utwór literacki, zajmie książka Pearl Buck wybitne miejsce w literaturze egzotycznej ostatnich lat.

*) PEARL BUCK: Błogosławiona Ziemia. Warszawa, 1934. Tow. Wyd. „Rój”.